

"Do trzech razy sztuka". Fragment nowej powieści Izy

Zapraszamy do lektury fragmentu najnowszej powieści Izy, która będzie miała premierę 9 czerwca. Tekst w stanie roboczym, przed korektą i redakcją 😊

„Do trzech razy sztuka”

Przyjaciółka już od progu wyczuła, że jest źle, ale nie przypuszczała, że aż tak. Wystarczyły dwa zdania, by w lot załapała, co się stało.

– Matko, czułam, że coś jest nie teges, ale nie sądziłam, że tak bardzo.

– No, pochrzaniło się wszystko – westchnęła zdruzgotana Anka.

Mąż Lucyny przebywał na konferencji, więc wyprawivszy syna do spania, gospodyni w pierwszej kolejności sięgnęła po zapasy wina. Wybrała białe półwytrawne.

– Niezłe – chlipnęła Anka znad kieliszka.

– Kochana, w takim przypadku nie można pić byle czego. Jak już masz się wstawić, to przynajmniej czymś dobrym. Przecież wszystko naraz nie może być złe. Zaraz zamówię pizzę – powiedziała i profilaktycznie postawiła w zasięgu ręki paczkę chusteczek higienicznych.

Anka nigdy nie była beksą, ale przy takiej akcji mogło być różnie. Lucyna dwoiła się i troiła, by rozruszać przyjaciółkę, ale sama miała świadomość, że sytuacja jest beznadziejna. Przygotowania do ślubu szły pełną parą, wszystko było zaklepane i zapłacone. Sukienka wisiała w szafie. Planowanie zemsty samo w sobie było cudowne. Zemsta z zasady była rozkoszą bogów, ale jeśli Anka byłaby skłonna zastosować się

do swoich pomysłów choć w połowie, do końca życia nie wyszłaby z więzienia.

– Mam ochotę go zabić. Boże, moja głowa – czknęła rano skacowana Anka.

– Może nie tak prędko? Może najpierw upewnij się jeszcze? Przecież to nie są żarty?

– Co ty powiesz – syknęła Anka sarkastycznie i nagle poblądła. Wyraz jej twarzy nie zdradzał niczego dobrego. Wstała i biegiem rzuciła się w stronę toalety.

– Żyjesz?

– Tak! Cholerna pizza mi zaszkodziła.

– Noo, jasne. Jak długo żyję jeszcze nie widziałam, żeby ktoś miał kaca po pizzy.

– Ale ja mam mdłości – jęknęła Anka znad pistacjowego sedesu z motywem oliwek, których nie znosiła.

– Masz! Weź to pod język – Lucyna zaordynowała przyjaciółce tabletkę.

– To dla kotów, czy koni? – Zapytała Anka świadoma, że przyjaciółkę stać na wiele.

– Nie, głupia – roześmiała się Lucyna, to homeopatyk dla dzieci.

– To jeszcze mi powiedz, jak można dać zielone oliwki na desce od kibla? Równie dobrze mógłby tam być motyw schabowego z kapustą... – Anka mruknęła zniesmaczona, a Lucyna zareagowała głośnym śmiechem.

– To prezent od klienta. Niedawno robiłam jego suczce cesarkę i z wdzięczności, że wszystko dobrze poszło, sprezentował mi tę deskę. Ma jakieś studio reklamowe i robią tam różne takie zabawne rzeczy, a że pękła mi stara deska, tymczasowo dałam tę

w oliwki. Lepsza taka niż zimny fajans na tyłku, no nie?

– No pewnie, a co się urodziło? – zapytała Anka przez grzeczność.

– Pięć biszkoptów.

– Czego? – Anka spojrzała na przyjaciółkę jak na wariatkę.

– Matko. – Lucyna westchnęła z politowaniem. – Biszkoptowych labradorów, sieroto.

Opowiadanie "Po drugiej stronie szyby" cz. 3

Wyjrzałem ostrożnie zza liści i badałem dno. Wyczuwałem jakąś nieuchwytną zmianę w otoczeniu i dopiero po chwili zorientowałem się, że w przedpokoju zapaliło się światło. Moja żona wróciła. Rzuciłem się w stronę mojej wypisanej czarnymi kamyczkami wiadomości. Zniknęła! Zostały po niej wyłącznie żałosne sterty żwiru. Za moimi plecami rozległ się szyderczy rechot, więc odwróciłem się gwałtownie i stanąłem oko w oko z tym porąbanym skorupiakiem. Nienawiść stłumiła racjonalne myślenie, nawet się nie zdziwiłem, że rak potrafi się śmiać i do tego złośliwie.

– Zabiję cię! – wrzasnąłem i, nie zważając na zdecydowanie większe gabaryty przeciwnika, ostro natarłem.

– Chciałbym to widzieć – odezwał się rak zblazowanym głosem.

Zdumienie osadziło mnie w miejscu. Przełknąłem siebie w roli gupika, zaakceptowałem hrabiego muchę, ale gadający rak? Mój

rak? Ten sam, za którego zapłaciłem 150 złotych w sklepie akwarystycznym? Wtedy właśnie zrozumiałem, że to wszystko mi się śni i za Boga nie mogę się obudzić. Paradoksalnie, z punktu poprawił mi się nastrój. W końcu skoro to wszystko nie dzieje się naprawdę, to nic mi nie grozi.

– Od kiedy to skorupiaki potrafią gadać? A jeśli potrafią gadać, to może niech taki jeden idiota odpowie mi łaskawie, co mu przeszkadzał mój napis na piasku? – zapytałem wobec tego agresywnie i bez cienia strachu w głosie.

– Siedzę w tym tak samo jak ty, baranie – skomentował, niezupełnie odpowiadając na zadane pytania. – Tylko, że ty możesz się stąd wyrwać, a ja nie mam szans! To se razem posiedzimy – zarechotał.

Porażony absurdem sytuacji parsknąłem śmiechem a z moich rybich ust posypały się perlister bąbelki. Do boku łasiła się samica, naprzeciw mnie stał rak i właśnie ogłaszał, że także jest ofiarą inwersji bez szans na powrót do własnego ciała, a do tego rybia brać właśnie wzmogła kotłowanie w okolicach uchylonej pokrywy. Do kuchni weszła moja żona i pochyliła się zaglądając do wnętrza akwarium. Przez chwilę patrzyła uważnie a potem syknęła do środka szczyptę pokarmu. Gupiki zwariowały.

– Jesteś tu? – zapytała moja żona.

Zdębiałem i podpłynąłem do samej szyby a wraz ze mną cała banda ryb. Nie dało się ich odgonić. Niczym się od nich nie odróżniałem. Chciałem dać żonie jakiś znak, ale nic sensownego nie przychodziło mi do głowy.

– Chyba kompletnie zwariowałam – powiedziała, gasząc jednocześnie światło w moim więzieniu.

Po raz pierwszy od chwili gdy tu utknąłem wodę spowił mrok. Kompletnie zdezorientowany tłukłem się pomiędzy roślinkami, po omacku próbując trafić do swojej kryjówki.

– Nie chcesz wiedzieć kim jestem? – głos dobiegł z niebezpiecznie małej odległości.

Wzmogłem czujność i nie zaryzykowałem odpowiedzi. Po cichu wycofałem się pod pierwsze zarośla, o jakie otarł się mój ogon.

– Wiem gdzie jesteś, przede mną się nie ukryjesz – rak ewidentnie się nudził.

Kuźwa, czym ja sobie zasłużyłem na to wszystko? Jakby wszystkiego było mało, mój prześladowca widzi w ciemnościach, podczas gdy ja jestem ślepy jak kret?

– Otóż musisz wiedzieć, że jestem ważnym politykiem i swoją obecną postać zawdzięczam niefortunnemu spotkaniu podczas próby zjedzenia obiadu.

Nawet najłżejszym szmerem nie zdradzałem swojej lokalizacji. Wzmianka o polityku dodatkowo wzmogła moją czujność.

– To było w Tajlandii. Podszedł do stolika taki jeden kitajec, czy jak mu tam i zaciągnął mnie do akwarium. Przykucnąłem, zajrzałem i po chwili siedziałem już w środku. A moje ciało padło jak długie, zresztą dokładnie wiesz jak jest, więc co ci będę gadał. Co z nim dalej zrobili, to już nie wiem. Ja natomiast uratowałem się cudem. Pewnie skończyłbym na kupce ryżu, ale następnego dnia do knajpy przyszła grupa nawiedzonych akwarystów, takich łowców gatunków. Ich także kelner cholerny powiódł przed szybę i wtedy jeden z nich wskazał na mnie palcem i zaczął gorączkowo coś tam gadać. Chyba po angielsku gadał, bo nic nie rozumiałem, ale przeżegnałem się szczypcami, bo poczułem, że mój czas się kończy i zaraz wyląduję we wrzątku. Szczęście się jednak do mnie uśmiechnęło. Zapakowali mnie w foliowy worek i wręczyli temu gościowi. Ten sprzedał mnie innemu kolesiovi i dalej już poszło. W końcu trafiłem do akwarystycznego w którym mnie kupiłeś.

Na swoje nieszczęście najwyraźniej, pomyślałem i bezszelestnie odpłynąłem głębiej, do samego systemu korzeniowego rośliny.

– Nie mam pojęcia, gdzie jest moje ciało. Pewnie zostało w Tajlandii – głos raka przeszył nocną ciszę akwarium.

Nie odpowiedziałem. Siedziałem przy korzeniu i nasłuchiwałem. Cisza, której tłem był kojący szmer brzęczyka podziałała usypiająco nie tylko na mojego prześladowcę. Odpłynąłem i śniłem.

Wstałem z fotela i przeciągnąłem się. Żona, zwinięta w kłębek na kanapie oglądała jakieś pierdoły w telewizji. Miałem na dzisiaj dość komputera. Poszedłem do kuchni po piwo.

– Nakarm ryby, dobrze? – zawołała żona z pokoju.

Otworzyłem butelkę i postawiłem ją na kuchennym blacie. Z szafki wyjąłem opakowanie wybitnie śmierdzącego żarcia dla ryb. Wsypałem odrobinę do akwarium i usiadłem na stołku. Lubiłem podglądać wodne życie zamknięte w szklanym więzieniu.

Pomiędzy gupiki wpadł rak, cholerny pasożyt i destruktor. Ryby rozpierzchły się na boki, ale jeden młody samiec nie zdążył. Niebieski skorupiak chwycił go szczypcami a ryba wiła się rozpaczliwie. Słuszny gniew we mnie zagrał i wsadziłem rękę do wody. Bacznie śledząc sytuację w akwarium manewrowałem dłonią, by uchwycić cholernika. Gdy w końcu go unieruchomiłem, ten wyciągnął w stronę szyby wijącą się rybę. W jej oczach widać było strach i cierpienie.

Koszmar ma to do siebie, że kończy się gwałtownym przebudzeniem. Wzdrygnąłem się i zassałem ogromną masę wody w próbie krzyku. Właściwie dobrze się stało, że z moich rybich ust nie wydarł się żaden dźwięk, bo dzięki temu uchwyciłem strzęp wielce interesującego dialogu.

– Wczoraj mu powiedziałem, chyba mocno nim wstrząsnęło – szeptał rak.

– Czyli wszystko przebiega według planu? – zabzyczał dyskretnie Bogdan.

– Zgadza się.

– Mam nadzieję. Ściągnięcie go do środka zajęło nam dwa tygodnie. Nie wiem jak ty, ale ja czuję, że mucha nie dożyje jesieni. Kończy mi się czas.

– Rak chyba też młody nie jest, a do tego żona gupika ma teraz inne sprawy na głowie i nie czyści filtrów.

– Nie narzekaj, dobrze? To jest element planu, jakoś to przeżyjesz. Chłoptaş jest już nasz. Dobrze, że ten napis mu zniszczyłeś.

– No a co miałem zrobić? Nie może uciec za wcześnie. Najpierw musimy mu pokazać, że bez nas nie da rady uciec.

– Trzymaj rękę na pulsie. Ja wrócę koło południa. – zabzyczał mucha i odleciał.

Moje myśli galopowały. W niepojęty dla mnie sposób te dwa sukinsyny obserwowały mnie przez ostatnie tygodnie i uknuły dziwaczny spisek. Mamy być ich sposobem na ratunek. Musiałem robić dobrą minę do złej gry. Jeśli będę spektakularnie naiwny, wówczas kochani koledzy uczynią wszystko żebym uciekł. Oczywiście w nadziei, że z wdzięczności odnajdę ich ciała. Gwoli ścisłości gazety czytam regularnie i wiem, że ciało polityka sprowadzono do kraju. To jednak był ten wycinek wiedzy, którym zdecydowanie nie zamierzałem się dzielić ani ze skorupiakiem, ani ze zdradzieckim muchą. Podejmując decyzję wypłynąłem spomiędzy liści. Rzut oka na lekko rozmyty z tej perspektywy ścienny kalendarz wskazywał, że właśnie w bólach szarego świtu rodziła się sobota. Żona z pewnością spała. Rozkosznie zaróżowiona, zakopana w satynę kołdry. To dawało mi czas na działanie.

– Ej! – krzyknąłem w stronę jaskini skorupiaka.

– Czego? – odpowiedział, nieudolnie symulując głos wyrwanego ze snu niewinnego raka.

– Słuchaj, może jakoś sobie pomożemy?

Rak wyszedł przed chałupę i rozpostarł imponujące cielsko na piasku. Jego wąsy, dłuższe niż cały odwłok nieprzerwanie skanowały dno.

– Co proponujesz? – zapytał.

– Znajdę twoje ciało, tylko pomóż mi stąd wyjść – wypaliłem.

Durny polityk najwyraźniej właśnie na to czekał.

– Wiesz kim jestem? – zapytał.

– No pewnie, w mediach podawali relacje z wyjazdu posła z ramienia ...

– Dobra, dobra. Cicho – wrzasnął rak. – Sprawdzisz wszystko w googlach, tak?

– Wszystkiego się dowiem, nie przejmuj się. Jest tu jeszcze taka mucha ... – zawiesiłem wyczekująco głos.

– Mucha? Jaka mucha? – zapytał niewinnie polityk w chitynowym pancerzyku.

– No hrabia Bogdan, też zamieniony, tyle że w muchę. Musiałeś słyszeć nasze rozmowy – wyjaśniłem chytrze.

– A coś tam bzycało, ale nie mam w zwyczaju podsłuchiwania, więc wybacz ...

Jasne, pomyślałem. Nie masz w zwyczaju tak jak ta cała twoja partia. A nie nagrywałeś tylko dlatego, że nie miałeś na czym.

– No tak – odparłem. – To może zreferuję w skrócie przebieg naszych rozmów. Hrabia Bogdan tkwi w ciele muchy już ponad miesiąc i niefortunnie nie ma pojęcia, gdzie zostało ulokowane

jego własne ciało. Odkrył sposób jak odwrócić inwersję i ...

– Inwersję? – wtrącił obłudnie rak.

– Inwersja to zamiana tożsamości – starałem się zachować neutralny ton. – Dlatego tu jesteśmy, ale jeśli będziemy współpracować, to wydostaniemy się z tego wszyscy trzej.

– Skąd to przekonanie? – polityk podsunął sobie do otworu gębowego świeżutki liść mojego bezcennego anubiasa i zaczął go beznamiętnie przeżuwać.

– Ponieważ jako jedyny wiem, gdzie jest moje ciało, prawda? Wystarczy skomunikować się z moją żoną, ale jeśli będziesz psuł moje wiadomości, to raczej nic z tego nie wyjdzie! – odparłem z mocą.

– Bracie! – wrzasnął z entuzjazmem rak – Pomożemy!

Czując się jak na wiecu partii uśmiechnąłem się krzywo i wróciłem do konstruowania napisu. Po chwili na piasek wytoczył się fałszywy skorupiak i zaczął popychać na środek czarne kamyczki. Praca zajęła nam mniej więcej dwie godziny, ale efekt był imponujący. HELP było jeszcze wyraźniejsze, ułożone z podwójnego rzędu kamyków. Żona musiała to zauważyć.

Z rozgłośnym bzyčeniem nadciągnął hrabia i przysiadł na skraju pokrywy.

– Ach przyjacielu, cóż moje oczy widzą! – eksplodował egzaltacją.

– Witamy! – odparłem, uzbrajając się w czujność.

– Powinszować napisu.

– Nie tylko moja w tym zasługa. Proszę pozwolić, że przedstawię pana Stanisława..

– Uszanowanie! – wtrącił się rak.

- Pan Stanisław, poseł z ... – z całych sił grałem głupka.
- Niezmiernie jestem rad z tej znajomości! – znów wciął się polityk.
- Ja również i pozwolę sobie wyrazić swoją radość widząc panów poczynania. – zabrzączał Bogdan.
- Myślę, że to powinno zadziałać i wkrótce wszyscy trzej znajdziemy się w zupełnie innych okolicznościach – skorupiak akcentując słowo „zupełnie” najwyraźniej sugerował zgrabną akcję korupcyjną.
- Ja ze swojej strony z pewnością nie omieszkam panów ugościć w naszych rodzinnych stronach! – Bogdan oczami wyobraźni już dekorował sale pałacu kolorami partii.
- Myślę, że moja żona zrozumie napis, ale nie będzie wiedziała co z tym fantem zrobić. Potrzebne będą dalsze informacje. Czy macie panowie jakieś pomysły? – zapytałem.
- Drogi przyjacielu! Jeśli to nie pomoże, to wypiszemy instrukcje cukrem na kuchennym blacie, albo ponownie ułożymy informacje na piasku. Damy radę. – uspokajająco zaszemrał hrabia.
- Przyjaciele! – zaczął uroczyście rak i momentalnie umilkł.

Do kuchni weszła żona. Mucha pospiesznie umknął a rak wycofał się za kamienie. Gupiki, kompletnie nieświadome dramatyzmu sytuacji, chmarą wypłynęły spomiędzy krzaków w nadziei na sesję karmienia. Moja kobieta włączyła światło w akwarium i zamarła. Jej usta bezgłośnie się poruszały. Bez trudu wyczytałem swoje imię. Żona próbowała przeniknąć wzrokiem wewnątrz i mnie namierzyć. Po chwili poddała się z westchnieniem zawodu i nasypała szczodłą porcję żarcia. Wyszła, gasząc uprzednio światło. Gdybym miał się zakładać, to powiedziałbym, że pojechała do szpitala. Miałem nadzieję, że po moje ciało.

...

– Więc może ktoś w końcu mi powie, jakie są rokowania? – wycedziła żona Krzysztofa z całych sił powstrzymując krzyk.

Lekarz, student właściwie, taki młody dupek, któremu już zdołano wszczepić rozbuchaną godność osobistą w miejsce wiedzy, wzruszył arogancko ramionami. Gwoli ścisłości, spędził cały dzień na kuciu łacińskich cytatów, bez których nie da się parzyć kawy docentom. W efekcie nie widział żadnego pacjenta, a już z pewnością faceta o którego pytała kobieta.

– Rokowania są pomyślne! – zełgał na poczekaniu.

– Czyli?

Ze skrzypieniem przedwojennych łóżysk środkiem korytarza przetoczył się wózek kuchenny. Porcje parówek, oblepione nabytym w niedogrzanym korytarzu tłuszczem, łypały filuternie.

Kobieta, przełykając dzielnie kompletny absurd podawania zapakowanej w podłużne folijki siekanki ścięgien, oczu i mózgow osobom na ścisłej diecie, zmiażdżyła pogardliwym spojrzeniem gówniarza w szarawym kitlu. Gnój nadawał się do pożarcia i zjadliwej notki w Fakcie, ale paradoksalnie miał głos decyzyjny w sprawach życia i śmierci. Zwłaszcza tego drugiego. To sprawiło, że zmusiła twarz do przybrania wyrazu łagodnej zadumy i oczy do cielecego spojrzenia, które miało zasygnalizować durniowi, że jest boski, mądry i wspaniały, a mała kobietka niczego nie rozumieć i kochać mądry pan doktor z młodzieńczym trądzikiem.

– Czy męża można teraz odwiedzić? – zapytała aksamitnym głosem.

– Nie widzę przeciwwskazań – zagulgotał, choć nie miał pojęcia o kim mowa. Jak mu starsi koledzy tłumaczyli, fakt opieki nad oddziałem to sprawa umowna, a pacjentów świetnie doglądają pielęgniarki.

Żona Krzysztofa bez słowa wyminęła młodego debila, który wkrótce będzie debilem w średnim wieku a jedyną różnicą między nimi będzie tytuł naukowy tego drugiego. Korytarz był obstawiony łózkami z chorymi, którzy usiłowali skrywać dolegliwości pod przykrótkimi kołdrami – jedynym gwarantowanym przez szpital narzędziem dyskrecji. Pogodzeni z losem, co jest eleganckim określeniem umierających, pacjenci mimowolnie obserwowali kobietę. Ostatni dowód na istnienie prawdziwego życia poza murami umieralni.

Krzysztof leżał dokładnie w tej samej pozycji, w jakiej widziała go poprzednio. Pogłaskała go po policzku. Mężczyzna zatrzepotał dłońmi i na chwilę otworzył niewidzące oczy.

...

Co chwilę zerkałem, w nadziei, że zauważę jakiś ruch w kuchni, ale nic się nie działo.

Rak wylazł i usadowił się na środku kamienia. Nie komentował, żarł liście anubiasa i od niechcienia popychał czarne kamyczki w literze H.

Milczeliśmy, choć każdy z innego powodu.

...

Ukraść wózek i dźwignąć Krzysztofa to była bułka z masłem. Przejście przez korytarz i próba przedostania się do windy też nie była tak wielkim problemem. Nawet dotarcie poza teren szpitala po wyszczerbionym podjeździe dla inwalidów było wykonalne. Zamówienie stosownej taksówki dla osób niepełnosprawnych już nie.

Po kilkunastu nieudanych próbach, żona Krzysztofa zdarła z siebie płaszcz i troskliwie owinęła nim ciało. Po czym z wysiłkiem pchnęła wózek w górę ulicy.

...

Zawsze ufałem w zdrowy rozsądek mojej żony i jej racjonalne spojrzenie na świat. Byłem pewien, że zrozumiała i próbuje mnie uratować.

– Panie Hrabio – zagaiłem, próbując zyskać na czasie. – Zechce mi Pan opowiedzieć co nieco o losach pańskiej szlacheckiej rodziny?

Wiedziałem, że taki haczyk nadęty mucha z pewnością łyknie.

– Ach, doprawdy niezmiernie jestem zaszczycony, że Pan o moją szlachecką rodzinę się dopytuje. Otóż w XII wieku nasz protoplasta Sebastian, w swej umysłu przenikliwości żupnikiem będąc ...

Bla bla bla, pomyślałem bez grama szacunku dla protoplasty Sebastiana i niecierpliwie zerknąłem do kuchni. Gdzieś tam, na granicy słyszalności rejestrowałem kolejne perypetie krewniaków Bogdana. Mucha wyraźnie się rozkręcił i właśnie dochodził do połowy XVIII wieku. Rak trwał nieporuszony na kamieniu.

Do kuchni zakradło się światło z przedpokoju.

...

Wtłoczenie wózka do mieszkania nie było skomplikowane. Problem tkwił w kuchennych futrynach, za wąskich, by swobodnie przetoczyć staromodny wózek przez próg. Krzysztof był zbyt ciężki, by wnieść go do kuchni, więc kobieta wyjęła ze schowka dłuto, dzięki któremu zawsze przycinali na odpowiednią grubość pień choinki. Z determinacją godną słusznej sprawy przerabiała na drzazgi odporne drewno przez dobrą godzinę.

...

Hałas odłupywanych futryn był ogłuszający. W wodzie głos roznosi się zupełnie inaczej, a gwałtowne dźwięki sprawiają ból. Siedzący na brzegu pokrywy Bogdan zupełnie tego nie dostrzegał i w swoich opowieściach właśnie docierał do połowy

XIX wieku.

Czekałem.

...

Przepchnięcie wózka przez żałosne wspomnienie eleganckich futryn okazało się proste i po chwili wózek znalazł się przed akwariem. Ryby jak zwykle zleciały się w nadziei na żarcie. Kobieta podeszła i chwyciwszy ciało męża za włosy nakierowała jego zamknięte oczy na zbiornik.

...

Odgoniłem samice i podpłynąłem do szyby. Wraz ze mną kotłowało się kilku innych samców, ale tym razem miałem pewność, że uda mi się wyróżnić. Trzymałem w pysku odgryziony przez posła Stanisława liść anubiasa.

Musiała mnie poznać.

...

Jedna z ryb zaczęła wariować. Podpłynęła z liściem w pysku. Zataczała się pod jej ciężarem kręcąc w okolicach filtra dziwaczne młynki. Krzysztof.

...

Za szkłem żona strzeliła moje ciało z całej siły w pysk. Oczy ciała otworzyły się w nagłym szoku i wpiły się w szybę wyrażając bezmierne zdumienie. Schwyciłem spojrzenie i, z miażdżącym wolę życia przerażającym dźwiękiem, poszybowałem w chwilowy niebyt.

...

Powrót do ciała okazał się bolesnym doznaniem. Ciężenie sprawiło, że załkałem z tęsknoty za wodą, kończyny nie chciały mnie słuchać a do tego w całym ciele czułem ból odleżyn. Niczego nie rozumiałem. Łacińskie źródła hrabiego nie kłamały.

Dopadła mnie czasowa amnezja.

– Jak się czujesz? – zapytała troskliwie żona niecierpliwie odganiając muchę.

Skinąłem głową, starając się włożyć w gest maksimum entuzjazmu.

– To dobrze kochanie – powiedziała. – Jezu, jak mnie ta mucha wkurwia! – Moja ukochana chwyciła gazetę i pacnęła od serca owada.

Dopiero kilka tygodni później przypomniałem sobie, że ową muchą był Bogdan ale pewności nie miałem, podobnie, jak nigdy bym się nie przyznał, że byłem gupikiem. Wkrótce odzyskałem władzę w rękach i w nogach.

Akwarium z gupikami żona oddała sąsiadowi, ale ten całkiem głupi nie był i stanowczo odmówił przyjęcia raka. Kiedyś, dawno temu dostałem w prezencie na urodziny małe akwarium wyposażone w filtr i światło. Taki zestaw dla debila i policzek dla profesjonalnego akwarysty. Zapakowałem tam skorupiaka. Zbiorniczek ulokowałem naprzeciw telewizora, który z upodobaniem nastawiam na debaty wyborcze. Niech i poseł Stanisław ma coś od życia.

Opowiadanie "Po drugiej stronie szyby" cz. 2

Kobieta ostrożnie przeszła przez sionkę i zapukała do drzwi izby. Po chwili usłyszała suche kasznięcie i zinterpretowała

je jako powściągliwe zaproszenie. Drzwi z jękiem ustąpiły. Staruszka siedziała zwrócona przygarbionymi plecami w stronę wejścia.

– Przepraszam za niespodziewane najście – odezwała się łagodnym głosem żona Krzysztofa i nieomal natychmiast umilkła zbita z tropu charczącym śmiechem starej.

– Niespodziewane najście? – zarechotała szeptucha. – No dajże spokój!

– Przepraszam, ale nie rozumiem. – zaprotestowała kobieta.

– Ach wyczułam Cię dziecko z daleka i nawet się przyglądałam jak się przedzierasza przez ten zapuszczony maliniak.

– Okiem duszy? – wtrąciła uprzejmie przybyła.

– Okiem monitoringu, moje dziecko. – Stara odwróciła się do rzędu komputerów, prawą, sękatą dłońią przebiegła po klawiaturze jednego z nich wylogowując okno fejsbuka. – Moje kamery wychwyciły cię już przy trasie Białostockiej – dorzuciła życzliwie. – A co cię tu właściwie sprowadza?

Żona Krzysztofa przestąpiła z nogi na nogę i pocierając w zakłopotaniu grzywkę wzruszyła ramionami.

– No? – zachęcająco rzuciła stara, podnosząc się z trudem z fotela.

W chałupie zapadła cisza. Szeptucha wiedziała, że lepiej nic nie mówić, poczekać cierpliwie, bo zwierzenia nieuchronnie nadejdą. Każdy człowiek jest wypchanym emocjami workiem. W długo nie opróżnianym musi się popruć nici dyskrecji.

– Mój mąż – tyle zdołała wyartykułować kobieta, a reszta utonęła w żalnym łkaniu.

Szeptucha uznała, że to zdecydowanie skomplikowany przypadek. Z westchnieniem wylogowała rocznik 1929 w Naszej Klasie,

ustawiła monitoring w stan czuwania i poczłapała w stronę kuchni węglowej. Odgarnęła fajerki z największego paleniska i machając gazetą podsyciła ogień. Po chwili postawiła zielony czajnik na blasze i osiadła łagodnie na pięknym, tapicerowanym materiałem w kwiaty fotelu. Dopiero teraz żona Krzysztofa przyjrzała się starowince; spod chustki wymykały się kosmyki intensywnie rudych włosów. Farbowanych zapewne i dziwacznie kontrastujących z jadowicie różową podomką. Dłoń zwieńczona starannie pomalowanymi na kolor soczystej pomarańczy paznokciami wykonała gest zachęcający do zwierzeń.

– Cóż więc z twoim mężem, dziecko?

– Leży w szpitalu w śpiączce i lekarze twierdzą, że to wylew.

– A ty w to nie wierzysz? – zapytała, a właściwie stwierdziła stara.

– Skąd Pani wie?

– Inaczej nie szukałabyś pomocy u konsultantki medycyny ludowej.

– Tak to się nazywa? – w głosie przybyszki pojawiła się nutka zaciekawienia.

– Skarbówka, moja droga. Skarbówka to potęga i ma dalekie macki. Od znachorek haraczu nie mogą ściągać, więc kazali mi się zarejestrować jako firma w gminie i w zezwoleniu na prowadzenie działalności, w rubryce rodzaj wykonywanej działalności napisali „medycyna ludowa – konsultacje”. – westchnęła niezależna bizneswoman. – No ale o mężu miałaś mówić – dodała po chwili.

– No więc leży w śpiączce, ale ja nie wierzę, żeby to był udar, a lekarze coś kręcą i kombinują. Nikt niczego nie chce powiedzieć, zbywają mnie, a gdy zaczynam drążyć, to obrażają się i zaczynają na mnie wrzeszczeć. Myślę, że coś ukrywają.

– No pewnie, że ukrywają! – Konsultantka medycyny ludowej

energicznie walnęła pięścią w podłokietnik fotela. – Swój kompletny debilizm i ignorancję ukrywają!

– To wiem, ale co ja mam zrobić z moim mężem?

– Skąd pomysł, że to nie wylew? Zauważyłaś coś nietypowego?

– To przeczucie bardziej. Patrząc na niego i sprawia wrażenie kompletnie obcego a do tego skoro miał udar, to nie powinien się chyba ruszać a on się tak czasem próbuje wyginać dziwnie, jak wąż. Może go coś boli?

– Z tym udarem to niezupełnie tak moje dziecko. No chyba, że powiedzieli, że to porażenie.

– A mówili! A raczej szeptali między sobą. To jakaś różnica?

– Duża. Jeśli doznał porażenia, jak twierdzą, to nie poruszałby się wcale, więc w tym momencie sprawa zaczyna być podejrzana. – Szeptucha podniosła się z fotela i podeszła do kaflowego pieca. – Chodź, zaparzemy sobie herbatki. Przyda nam się.

– Będzie Pani wróżyć z fusów?

– No cóż – westchnęła konsultantka napełniając kubki wrzątkiem. – pewnie by nie zaszkodziło, ale bardziej to nam się przyda napar na rozbudzenie. Musimy pogadać z pewnym wróżbitą przez skypa, a robi się dość późno.

Stara wręczyła gościowi kubek a sama ruszyła w stronę komputerów. Zalogowała się i próbowała połączyć się z rozmówcą, ale bez rezultatu.

– Jakiś czas temu – powiedziała – byłam na wymianie w Ameryce Południowej i kilka interesujących prelekcji dotyczyło oddzielenia się duszy od ciała i coś mi się wydaje, że o takie coś tu może chodzić.

– O co? To jest możliwe? – szepnęła kobieta z wyraźnym

niedowierzaniem.

Nie doczekała się odpowiedzi, więc przycupnęła na taborecie obok konsultantki i niecierpliwie obserwowała okno łączenia skypa.

– Nikogo tam nie ma? – zapytała. – To co teraz zrobimy?

– Spokojnie dziecko, dorwiemy go na fejsbuku, tu się najwyraźniej ukrywa. – Szeptucha sprawnie zalogowała się na wzmiankowanym portalu. – O! Jest! Wiedziałam, że się ukrywa. Zaraz go dorwiemy, spokojnie.

...

Porażony prostotą rozwiązania w pierwszym momencie spojrzałem na hrabiego Bogdana z niedowierzaniem.

– Żartuje Pan? Czyżby ratunek był rzeczywiście tak dziecinnie prosty?

– Drogi przyjacielu, przecież dokładnie w taki sposób znaleźliśmy się w tym pożałowania godnym położeniu, więc tuszę, iż proces odwrotny musi przebiegać na podobnych zasadach. W studiowanych w największej dyskrecji księgach Biblioteki Narodowej znalazłem wiele poszlak, że powrót jest możliwy. Kilku wielkich lekarzy odnotowało znakomite sukcesy przywracania ludzi ze śpiączki, co zważywszy na opłakany poziom wiedzy medycznej może świadczyć o tym, że chodziło o inwersję. Pacjenci po wybudzeniu tego nie potwierdzali, ale rozmawiamy przecież o czasach, gdy za błąhostki wysyłało się ludzi na stosy...

– Mogli też zapomnieć co im się przytrafiło – ponownie wszedłem mu w słowo, co jak już zauważyłem było jedyną metodą by włączyć się do dyskusji. Hrabia lubował się w perorach.

– To oczywiście także jest możliwe – zgodził się natychmiast.

– Czyli można powiedzieć, że jesteśmy uratowani. –

skomentowałem sprawę z entuzjazmem.

– No tego bym nie powiedział. – ostrożnie stwierdził hrabia Bogdan. – Mimo prostoty rozwiązania znajduję, że tak powiem, pewne obiektywne trudności.

– Wystarczy przecież nawiązać kontakt wzrokowy ...

– Pan raczy zapominać, że do nawiązania owego kontaktu potrzebne nam są nasze ciała. Pan do swojego nie może się dostać, ja natomiast nie wiem, gdzie spoczywa moje – westchnął i zabrzączał skrzydełkami. – Uwaga! – krzyknął po chwili.

Odwróciłem się i natychmiast dałem nura w bok. Tuż za moim ogonem zatrzasnęły się niebieskie szczypce. Z żalem czmychałem ku dnu, nie mając pojęcia, czy hrabia Bogdan odfrunął, czy też czeka na pokrywie akwarium. Tak jak się spodziewałem, rak wkrótce zgubił mój trop. Nie odznaczał się specjalnie dobrym wzrokiem, czego o instynktach łowieckich nie dało się powiedzieć. Było kwestią czasu, by odkrył moją kryjówkę. Czego, jak czego, ale czasu nie miałem z pewnością. Nie wiedziałem gdzie jest moje ciało, nie miałem pomysłu jak się do niego dostać a poza tym zastanawiałem się, gdzie podziewa się moja żona. Durne gupiki nadal krążyły tuż pod powierzchnią, ciągle nie rozumiejąc, że szpara w pokrywie nie oznacza pory żarcia. Poczułem ogromne znużenie, a nadciągający mrok sprawił, że poczułem się okropnie senny. Nie zamknąłem oczu z tej prostej przyczyny, że ryby nie mają powiek, ale zapadłem w coś w rodzaju letargu. Przez głowę przemykały mi różne scenariusze ratunku, z których skok do napełnionej wodą torebki, którą hrabia Bogdan unosi za pomocą przyłg i z różnym trzepotem skrzydełek transportuje do szpitala był tym zdecydowanie najprostszym w realizacji i najmniej ryzykownym.

Hrabia miał rację. Pomimo prostoty odwrócenia inwersji nasza sytuacja nadal była beznadziejna. Usnąłem.

...

Konsultantka medycyny ludowej wystukała kilka słów na klawiaturze i posłała je w cyberprzestrzeń. Po chwili małe okienko dialogowe zapulsowało.

– No! Odezwał się wreszcie obibok jeden – wrzasnęła triumfalnie starucha. – Zaraz mu napiszę do słuchu!

– To może niech Pani najpierw spyta jak pomóc mojemu mężowi? Bo może jeszcze ten on się obrazi i wyłączy? – zatroskała się żona Krzysztofa.

– Spokojnie. Wyśpiewa wszystko jak na spowiedzi.

– A kto to jest?

– A to właśnie szaman, który wykładał podczas tej wymiany w Ameryce Południowej.

– O Jezu! Toż przecież u nich pewnie jest czwarta nad ranem!

– No i co z tego? Szamani nie powinni zbyt długo spać, bo im to mózgi otumania, a poza tym skoro jest jasnowidzem, to mógł się nie kłaść spać, skoro przewidział, że będę do niego dzwonić, prawda?

Zawarta w słowach szeptuchy naciągana logika oszołomiła kobietę w stopniu większym niż wzmianka o szamanach, jasnowidzach i telepatycznych atrakcjach.

– On pyta, kiedy ostatni raz widziałaś męża przytomnego i gdzie to było.

– Ja byłam w pokoju, to był wieczór. Oglądałam Wojewódzkiego i ...

– No już nie miałaś czego oglądać! – stara weszła jej w słowo – no dobra, mów dalej!

– Krzysztof był w kuchni, piwo poszedł sobie wziąć z lodówki i ryby przy okazji nakarmić. A potem to już usłyszałam hałas, pobiegłam tam, a on jak długi leżał na terakocie ... Pisze mu to

Pani?

- Nie muszę, odbiera cię telepatycznie.
- To po co wam ten skype? – zdumiała się kobieta.
- Trzeba przecież zachowywać pewne procedury, cicho bądź!

Okno dialogowe ponownie zapulsowało.

- Pyta się o te ryby. Chce wiedzieć, czy mieszkacie nad rzeką.
- Nad rzeką?
- No powiedziałaś, że w kuchni ryby karmił ...
- Akwariowe!

Stara podrapała się po głowie i stukając paznokciami po blacie czekała na odpowiedź szamana.

- Masz prosto usiąść i odtworzyć w pamięci całą scenę. To jak siedziałaś w pokoju i to, co zobaczyłaś w kuchni. Nie kręć się, bo zakłócisz przekaz.

Kobieta zamknęła oczy i wyprostowała się. Po chwili poczuła, że ktoś grzebie jej w mózgu, ale dla dobra sprawy nawet się nie wzdrygnęła i cierpliwie czekała, aż cudzy umysł zduplikuje jej wspomnienia i odejdzie.

- Już po wszystkim, otwórz oczy – rozkazała starucha.

Po chwili zapulsowało okienko na monitorze.

- Inwersja ... – przeczytała pojedyncze słowo żona Krzysztofa. – Co to znaczy?

- W konkretnym przypadku twojego męża oznacza tyle, że jego dusza została zamknięta w akwarium. – odparła konsultantka.

Kobieta przez chwilę wpatrywała się w konsultantkę zdumionym wzrokiem, po czym zemdlała. Osunęła się wprost na zdobiony

fikuśnymi wzorkami turecki dywan.

...

Musiałem porządnie przysnąć, bo gdy ponownie odzyskałem ostrość widzenia, za oknem rodził się słoneczny świt. Gupiki nadal kotłowały się przy karmniku, najwyraźniej zupełnie nie przejmując się czwartą nieprzespaną dobą. Były jak psy Pawłowa. Paliło się światło, czyli ciągle trwał dzień. Pokrywa była otwarta, czyli zaraz posypie się żarcie. Zero wniosków. Ich pamięć krótkotrwała najwyraźniej resetowała się po kilku sekundach. Obrzuciłem wzrokiem piaszczyste dno i przypomniałem sobie, że pod spodem znajduje się czarny żwir, którego nie chciało mi się usunąć przy zmianie dekoracji w akwarium. W jednej chwili w mojej głowie narodził się plan i rzuciłem się w odległy kąt za kokosem, gdzie warstwa piasku była najcieńsza.

Pracowałem przez cały poranek, kalecząc co chwilę delikatny rybi otwór gębowy, przystosowany raczej do skubania pokarmu, niż orania pokładów żwiru. Byłem mniej więcej w połowie, gdy z góry doszło do mnie znajome bzyczenie. Hrabia Bogdan siedział na samym brzegu pokrywy i najwyraźniej był czymś niezmiernie podekscytowany. Wypuściłem z ust czarny kamyczek i popłynąłem w górę.

– Zgaduję, że ten nieokrzesany skorupiak nie zdołał wyrządzić Panu krzywdy. – zagaił kurtuazyjnie hrabia.

– Udało mi się umknąć, dzięki Bogu – odparłem.

– Pozwalam sobie niepokoić Pana tak wcześnie, ponieważ przyszło mi do głowy pewne rozwiązanie.

– Mnie również drogi Panie, ale chętnie posłucham dobrych nowin.

– Ach przyjacielu! – westchnął z egzaltacją mój rozmówca. – Przez miesiąc mej niewoli niejednym karkołomnym pomysłem

przychodził mi do głowy, a liczne próby odnalezienia ciała spełzły na niczym! Nie muszę oczywiście mówić, że niejednokrotnie opadała mnie rezygnacja a jednym pocieszeniem była wątła nadzieja na spotkanie kogoś, kto potwierdziłby moją teorię i pomógł przedostać się do ludzkiego świata.

– *Ad rem*, drogi hrabio! – przerwałem słowotok stanowczym żądaniem.

– Oczywiście, drogi przyjacielu – hrabia odchrząknął uroczyście. – Wymyśliłem sposób na wydostanie nas obu z tego wyjątkowo niedogodnego położenia, które, jeśli mam być szczery z każdym dniem doskwiera mi coraz mocniej i...

– Cóż to za sposób? – wtrąciłem niecierpliwie.

– Zaświtało mi w głowie, że wspólnymi siłami powinniśmy wymóc na pańskiej małżonce, by przywiozła pańskie ciało tutaj. Zostawimy jej różne znaki, notatki i wskazówki, i jeśli jest mądrą kobietą ...

– Jest.

– ... to skojarzy fakty i pomoże Panu wrócić do właściwej postaci a Pan ...

– zlokalizuję Pańskie ciało, ponieważ moje palce ważą znacznie więcej niż mucha i z pewnością obsłużą Google.

– No właśnie! – ucieszył się hrabia Bogdan. – Teraz tylko musimy opracować system wiadomości i wcielić je w czyn.

– Pozwolę sobie zauważyć – bezwiednie przejąłem barokową stylistykę muszega arystokraty – że pierwsza informacja wkrótce będzie gotowa. – Pomachałem płetwą wskazując na jasne dno akwarium. Czarne żwirkowe litery były doskonale widoczne.

– H..E...I.. – przeliterował hrabia. – Cóż to na Boga znaczy?

– Gdy skończę, to będzie HELP – wyjaśniłem.

– Ach te zapożyczenia – cmoknął z dezaprobatą Lubomirski.

– Pan raczy wybaczyć – wycedziłem zimno – ale oszacowałem liczbę liter w polskim słowie „RATUNKU”, po czym porównałem je z angielskim „HELP” i okazało się, że usypanie tego drugiego zajmie mi o połowę mniej czasu, co dla nas obydwu oznacza szybsze wyzwolenie.

Hrabia przyssał się do pokrywy. Jego trąbka łapczywie zbierała gnijące szczątki akwariowej rzęsy. Jego musza natura momentami brała górę nad ludzkim intelektem, co było całkowicie zrozumiałe.

– Panie hrabio! – krzyknąłem. – Bogdan! – użyłem poufałej formy, ale to również nie wybiło muchy z transu żarcia.

Wzruszyłem płetwami i odpłynąłem w stronę dna, by dokończyć czarny napis. Z oddali doleciało do mnie niecierpliwe bzyczenie, które w swobodnym przekładzie oznaczało mniej więcej tyle, co „muszę natychmiast dostać się na trawnik. Pies Nowaków zrobił wielką kupę”.

Byłem już przy „P”, gdy zobaczyłem raka. Pospiesznie wypłułem resztę kamyczków i czmychnąłem do kryjówki. Przytuliłem się do szyby.

...

– No obudź się! – Starucha potrząsnęła zwiotczającym ciałem kobiety.

Żona Krzysztofa powoli wynurzała się z niebytu. Zamrugała powiekami i ustabilizowała obraz szeptuchy na wprost swojej twarzy. Z pełną mocą wróciła do niej chwila, w której siedziała na taborecie a zamorski szaman powiedział jej, że jaźń Krzysztofa pływa obecnie w kuchennym akwarium.

– To niemożliwe! Takie rzeczy się nie dzieją naprawdę! – rozpaczliwy w zamierzeniu krzyk w rzeczywistości okazał się ochrypłym szeptem.

Szeptucha uniosła ostrożnie głowę kobiety i podsunęła do jej wyschniętych ust szklanę z wodą.

– Możliwe, możliwe – zaszemrała łagodnie i uśmiechnęła się do świętych obrazków wiszących na ścianie. Lata pracy ezoterycznej wyrobiły w niej przekonanie, że nie należy dziwić się niczemu, a każdy, nawet najbardziej nieprawdopodobny scenariusz jest do zrealizowania. Wszystko zależy od nakładu sił. Miała takiego wnuczka w sąsiedniej wsi, który jak się porządnie skupił, to przenosił stóg siana na pole Stachańskiej. Oj miała z tego szeptucha przednią atrakcję, gdy te kundle pomieszane, znaczy wnuki Stachańskiej wybiegały i gorączkowo przekładały siano za miedzę.

– Co ja mam teraz zrobić? – załkała żałośnie żona Krzysztofa.

– A jak myślisz?

Kobieta usiadła na wersalce i odrzuciła koc. Przez chwilę wodziła nieprzytomnym wzrokiem po starusze i błyskających na niebiesko monitorach.

– Mam iść do domu i znaleźć męża w akwarium? – pytanie nosiło silne znamiona niedowierzania.

Konsultantka medycyny ludowej wzruszyła ramionami i pogłośniła telewizor. Szedł milion dwudziesty trzeci odcinek Mody na Sukces. Brooke właśnie udowadniała Ridge'owi, że cioteczna kuzynka pasierbicy matki niestety powiła bliźnięta i że tak się dziwnie złożyło, że owe dzieci są dziećmi Ridge'a. Co, jakby się zastanowić, pewnie oznaczało zdradę, ale nikt już na tym etapie nie był w stanie wyjaśnić kto i kogo zdradzał.

– Dziecko drogie, mąż siedzi w akwarium, załatw ciało, które leży bez sensu w szpitalu i wszystko się wyjaśni.

– Co się wyjaśni?

– Oj dałabyś spokój! – ofuknęła ją zapatrzona w ekran stara. – Rób co ci się mówi. Ciało do domu zawieź.

Kobieta namierzyła drzwi wyjściowe. Narzuciła na ramiona kurtkę i chwyciła klamkę.

– Poczekaj – całkiem przytomnym głosem odezwała się gospodyni.
– Rachunek muszę wystawić!

Wyciszyła telewizor i usiadła do komputera. Przez chwilę stukała w klawiaturę.

– Proszę! – ogłosiła triumfalnie. – Rachunek! Nawet w kasę fiskalną mnie wrobiły te urzędasy ...

Żona Krzysztofa spojrzała na świstek papieru i bez dyskusji podpisała.

– Sprowadź męża jak najszybciej do domu i posadź przed akwarium. Powinno pomóc, a jeśli nic się nie stanie, to zadzwoń do mnie. – Stara wręczyła jej wizytówkę i energicznie podreptała w stronę fotela.

Oszołomiona kobieta wyszła na zewnątrz i zanurzyła się w mroczny las. Oświetlała sobie drogę komórką i z duszą na ramieniu kierowała się w stronę szosy.

Saga stajenna. Kolejny fragment.

Witajcie drodzy czytelnicy!

Dzisiaj prezentujemy drugi fragment nowej książki Izy, której akcja będzie się rozgrywać w stadninie koni. Łapcie, świeżutko

napisany 😊

W końcu w życiu nie może być tylko źle. To nudne, pomyślała i energicznie ruszyła do domu przypilnować, co tam Zofia wyprawia w temacie obiadu. Nadal była sobą, ale w jej przypadku człowiek nie znał dnia ani godziny.

– Boże jedyny... – Magda jeszcze dobrze nie weszła do kuchni jak szczerka opadła jej prawie do podłogi.

– Na wieki wieków, amen- odpowiedziała Zofia znad wielkiej góry obranych ziemniaków i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Zofio, na litość boską! Dość!

– Już kończę. Jaśnie pan ma dziś gości. A jak tylu chłopa z polowania wróci, to wszystko zjedzą.

– To skoro pan hrabia ma tylu gości, to wypadałoby wyszorować łazienkę i nazbierać kwiatów, prawda? – Magda z trudem się opanowała i sposobem pozbyła się Zofii. Bezwładnie opadła na krzesło. Wcześniej staruszka obrała ze trzydzieści kilogramów ziemniaków i ugotowała gulaszu dla kilkudziesięciu osób. Dobrze, że jeszcze nie zdążyła odkręcić weków z piklami i nie ugotowała zupy.

– Co na obiad?- zdyszana Alicja wpadła do kuchni jak po ogień po coś do picia. – O kurna... – Alę zatkało na widok sterty obranych ziemniaków. – Urządzamy wesele, czy wzięłaś z Nestora podwykonawstwo jako podkuchenna?

– Weź mnie nie wkurzaj, dobrze?- syknęła Magda. – A odpowiadając na twoje pytanie, to mamy dziś gulasz z ziemniakami albo ziemniaki z gulaszem, albo zupę gulaszową z ziemniakami. I tak będzie przez tydzień. Gulasz na śniadanie, gulasz na obiad i gulasz na kolację. Pasuje?

Saga stajenna. Fragment.

Drodzy czytelnicy!

Nazwa bloga zobowiązuje, więc dzisiaj prezentujemy świeżo napisany fragment powieści Izy. Tak świeży, że powieść właściwie nie posiada jeszcze tytułu.

Życzymy udanej lektury 😊

– Do stępa!... Kłus!... Wolta w lewo! Łydka! Plecy prosto! Równo! Łydka, mówię!

Na padoku Alicja ostro musztrowała kursanta. Tym razem trafił się pewien znany aktor, który na potrzeby nowej roli musiał nauczyć się jeździć konno. Najpierw do stadniny zadzwonił reżyser i incognito umówił aktora na lekcje. Nic dziwnego, że obaj chcieli załatwić zajęcia w kompletnej głuszy. Marek Zajder, popularny aktor grający w od lat ciągnącym się serialu był osobą tak popularną, że nawet Magda, która rzadko kiedy oglądała telewizję rozpoznała go od razu. W pierwszej chwili zaniemówiła na jego widok, ale szybko doszli do porozumienia i przekazała go pod fachową opiekę Alicji. Ta nie mając pojęcia z kim ma do czynienia, potraktowała telewizyjnego gwiazdora tak samo jak innych uczniów i nie przebierając w słowach na wstępie poinstruowała go jak należy siodłać i czyścić konia. Rozpieszczony celebryta nie krył oburzenia i od razu po pierwszej lekcji poskarżył się reżyserowi, że zagnano go do brudnej roboty. Tymczasem wszystkim zależało na dyskrecji i nikt nie chciał, żeby na następną lekcję Zajdera zbiegła się cała wioska. Aktor z bólem przystał na warunki. Wybór należał do niego. Albo traktowanie na specjalnych zasadach, co

wymagało ujawnienia się, albo normalna procedura stosowana przy wszystkich kursantach. Wybrano to drugie.

– O biedny- mruknęła do siebie Magda.

Zobowiązała się do dyskrecji, więc Alicji nie pisnęła nawet słówka w temacie tego, z kim będzie miała do czynienia. Ponadto obawiała się, że instruktorka wiedząc kogo trenuje, speszona mogłaby jakoś zmienić zasady, żeby nagiąć się do kaprysów gwiazdy, a tu wszystkim zależało na czasie i za to płacono. Miało być szybko i skutecznie. Nawykły do nieprzerwanej atencji i błysku fleszy zniewieściała bawidamek musiał zatem zacisnąć zęby i jak najszybciej pochwalić się efektami, bo terminy zdjęć zbliżały się nieubłaganie. A z tym było słabo. Marek Zajder z całego serca nienawidził koni i bał się ich. W tym układzie ciężko było o spektakularne sukcesy. Niestety zwierzęta instynktownie wyczuwały jego niechęć i nawet najbardziej potulne kobyły robiły wszystko by utrudnić mu naukę. W końcu Alicja nie wytrzymała i przydzieliła mu Grocha. Najbardziej posłusznego konia w całej stajni. Wielki kary wałach lubił wszystko i wszystkich. Podobnie jak poczciwego Biesa, często przydzielano go tym mniej utalentowanym jeźdźcom, żeby mogli w siebie uwierzyć i odnotować jakiś motywujący postęp.

Magda podeszła pod padok i wsparła się o sękatą brzoźową żerdź. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Pierwszy raz widziała, żeby żwawy i przyjaźnie nastawiony do świata Groch, zasnął w trakcie lekcji. Za nic miał komendy i nieudolne kopniaki wściekłego aktora. Ten prał go szpicrutą po zadzie a Groch spokojnie ignorując te śmieszne razy, robił swoje. Po prostu postawił na swoim. Opuścił ścieżkę, wyszedł na środek padoku, zwiesił łeb i zasnął. Zajder siedział na jego grzbiecie i gotował z wściekłości. A koń nic. Magda o mało nie pękła od tłumionego śmiechu.

– Co to za cholerna chabeta?!- krzyknął w stronę Magdy. – Nie macie tu jakichś lepszych koni?!

– Mamy, ale one jeszcze gorzej mogłyby znieść pańskie humory- Magda nie wytrzymała i wzrokiem usadziwszy zaskoczoną Alicję w miejscu, podeszła do śpiącego Grocha. Koń spał jak zabity.

– Niech pan zsiądzie.

– Dlaczego on mnie nie lubi?

– Bo pan nie lubi jego. Koń to nie samochód. Dobrze wyczuwa pańskie intencje i jak pana nie lubi, to w najgorszym razie pana zrzuci i zabije.

– Co pani wygaduje?- Zajder wyglądał, jakby miał ochotę udusić i konia i Magdę.

– Dobrze mówi. Koń czuje, że nie umie pan jeździć i w dodatku go pan nie lubi. Obraził się za bezsensowne pranie batem. Siłą i agresją nic pan nie załatwi, bo on jest silniejszy od pana i obaj to wiecie. Z takim podejściem może pan zapomnieć, że kiedykolwiek będzie umiał jeździć- powiedziała Alicja i szybkim ruchem wskoczyła na Grocha. Nawet przy za długich strzemionach zagalopowała z miejsca.

– No i widzi pan? On wcale nie śpi. On po prostu pana nie lubi.

I my też, pomyślała Magda i w duchu pożałowała jego współpracowników z planu filmowego. Marek Zajder był bufonem wszechczasów, a talentu do jazdy nie miał za grosz.

– To jakiś nonsens- prychnął Zajder i z wyzywającą miną oparł się o drewniany parkan odgradzający wybieg dla strusi od padoku.- Będę żądał zwrotu pieniędzy za tę amatorkę, którą się tutaj uprawia! Nie umiecie uczyć. To jakieś oszustwo.

– Chyba reżyser może żądać, bo to on płacił, choć ja za brak pańskiego talentu nie odpowiadam- powiedziała Magda i kątem oka dostrzegła skradającą się za jego plecami strusicę.

– Pani jest bezczelna!- Zajder poczerwieniał na twarzy.

– Nie, nie jestem, ale bez dublera się raczej nie obejdzie. Taka prawda.

– Ty bezczelna k... Aaaaa, cholera!- Wrzasnął, gdy strusica podstępnie dziabnęła go w ucho.- Aaaa! Aaaa!

Magda i Alicja tylko spojrzały po sobie i jednocześnie obie ryknęły śmiechem. Magda już wiedziała, że upierdliwego aktora w stadninie już więcej nie zobaczy, za to była pewna, że widok przerażonego Zajdera, trzymającego się za krwawiące ucho, na długo zapadnie jej w pamięć. Oburzony do granic, poczerwieniał jak burak i biegiem rzucił się do swojego czarnego porsche. Odpalił silnik i ruszył z piskiem opon.

– Cholera, żeby tylko nie pobrudził sobie tapicerki- bąknęła pod nosem Alicja i wróciła do stajni.